

Prolog

Wojmir nie lubił przyjmować zleceń, lecz czasem nie miał w tej kwestii nic do powiedzenia.

Komu jak komu, ale Pogańskiej Radzie Królewskiej Władysława Jagiełły się nie odmawiało, a już w szczególności zaraz po fali opętań, która pochłonęła mnóstwo ludzkich istnień. Tak więc, jak na dziedzica stróża Nawii przystało, miał teraz poważne zobowiązania, a jego zleceniodawczynią nie była już jakaś baba z Pogorzeli, a najpotężniejsza wiedźma w kraju.

Halina.

– Żmijku, zmarniałeś coś na buzi, może łyeczka bimbru dla kurażu?

Wojmir spojrzał kątem oka na Radzanową drepzczącą polną drogą tuż obok niego krokiem zdecydowanie zwawszym, niż podejrzewałby o to kobietę w jej wieku. Dojrawszy przytroczony do jej pasa bukłak, parsknął.

Wystarczyło, że wyjęła z niego korek, a zapach alkoholu natychmiast dotarł do nosa widzącego.

To wyjaśnia, skąd w niej tyle werwy...

– Podziękuję – odparł niechętnie, patrząc na horyzont. Niecierpliwie wypatrywał pierwszych zabudowań miasta będącego celem ich podróży. – Wczorajsza nalewka jeszcze mnie męczy...

– Flaki ci się wykręcają, tak? – zaskrzeczała kobiecina i upiła ów „łyczek”. – Za ciebie, Żmijku – mruknęła, wycierając sobie usta suchym jak papier przedramieniem.

Że też po tylu latach spędzonych w polu jeszcze jej ta skóra od suchości nie popękała, jestem pełen podziwu... – pomyślał Wojmir i już był gotów znów zatopić się w myślach, lecz...

– Ładną sobie tę drugą dziewczuszkę znalazłeś, wiesz?

Odruchowo skierował swój wzrok ku dwóm kobietom idącym przed nimi w odległości kilkunastu kroków. Jednej niespokojnej niczym diabeł, drugiej opanowanej bardziej niż niejeden anioł.

Strzydze i szeptusze, nocy i dniowi.

– Nie jest druga – odparł z opóźnieniem, bowiem nie od razu dotarło do niego, jak źle to określenie zabrzmiało w ustach Radzanowej. – Już pani wyjaśniałem, że z Żywią nic mnie nie łączy, to Stefa...

– Dobrze, dobrze. Już ja swoje wiem – rzuciła pod nosem staruszka. – Toż to ino z powodu tej demonicznej krętaczki Welesa musimy iść do tego całego Piotrkowa, żeby listy do ojca zaniósł, a tobie oddał na własność Oleśnicki Dworek. Co tyś tam chciał stawiać...? A! – Uniosła swój krzywy palec. – Żmijowe Imperium, dobrze pamiętam?

Wojmir natychmiast poczuł się w obowiązku, aby sprostować pewne nieprawdziwe stwierdzenie.

– Ja, pani Radzanowa, nigdzie pani iść nie kazałem.

– Wiem, wiem, sama chciałam...

– No właśnie, więc...

– Ale to taki wybór bez wyboru, Żmijku – przerwała mu i zrobiła duży krok nad kałużą, jedną z ostatnich w okolicy, które pozostały jeszcze po wczorajszym deszczu. Ten niewątpliwie przysłużył się pobliskim polom ogołoconym z pszenicy podczas ostatnich żniw.

– Mówiłem pani, że nie mogę niczego obiecać – mruknął Wojmir i odgarnął sobie z czoła zbłąkane kosmyki jasnych, przydługich włosów. – Nie wiem jak i czy w ogóle mogę pomóc Racisławowi...

– Juści, juści – przytaknęła mu żywo, mrużąc oczy od nisko wiszącego, zachodzącego słońca, którego rozproszone po niebie promienie pokolorowały je zachwycającą mieszanką żółci i pomarańcza. – Ale jeśli ktoś jednak może, to tylko ty – zaskrzeczała i poklepała go po ramieniu. – Syna swego nad życie kocham. Dopóki mu nie pomożesz w zaświaty odejść, to gdzie ty, tam i ja, Żmijku. Nie opuszczę cię aż do śmierci...

– Niech Radzanowa lepiej nie kończy tego zdania – wtrącił się Wojmir, zupełnie nie będąc w nastroju na ewentualne odprowadzanie duszy kobiety nad brzeg Rzeki Zapomnienia, gdzie panował teraz rozgardiasz większy niż w zamtuzie Haliny po opętaniu jednej z jej ładacznic.

Na samo tylko wspomnienie tego feralnego dnia widzący westchnął i zachmurzył się, bo, między bogami a prawdą, nie w smak była mu ta cała „współpraca” z

Pogańską Radą. Jakże on, wędrowiec i grabieżca co poniektórych grobów, nadawał się do ratowania przepelnionego zaścianka Nawii? Niejeden mógłby rzec, że Zmijowemu synowi nie przystoi nie lubować się w dziedzictwie ojca, stróża węzowych zaświatów. Wojmir jednak nigdy zbytnio się tym nie przejmował, stąd jego nastawienie do tego tematu nie zmieniło się, odkąd opuścili Poznań jakiś czas temu.

Nadal nie chciał mieć z tym nic wspólnego, bo zupełnie nie pasował do roli bohatera.

Nie to, co Wojek, pomyślał, wpatrzony w ubitą drogę, którą pokonywali od kilku godzin.

Wyruszyli po południu, bowiem zeszłego wieczoru dali się w przydrożnej karczynie ponieść zabawie zakrapianej nalewką z aronii, przez co o świcie kolektywnie stwierdzili, że nie ma szans, aby wrócili na trakt przed dwunastą. Żywia ociągała się z nich wszystkich najbardziej, dlatego zamiast dotrzeć do Piotrkowa o ludzkiej godzinie, dobrną do murów miasta prawdopodobnie po zachodzie słońca.

A było nie dać się namówić na tę aroniówkę...

– Zmijku?

Wojmir znów kątem oka spojrzał na zdyszana już Radzanową. Bordowy wróbel siedzący na jego ramieniu, ptasi szpieg Haliny, również zwrócił się w jej stronę. Czerwona chustka, którą kobiecina zwykła nosić na głowie, właśnie lekko się zsunęła, ukazując światu przerzedzone, siwe włosy pogorzelanek.

– Tak? – zapytał i łypnął na nią ponownie w obawie, że stało się coś złego.

Poważna Radzanowa, która ważyła słowa zamiast pleść, co jej tylko ślina na język przyniesie, była dla widzącego większym postrachem niżli Halina w swojej ostatecznej postaci wścieklej wiedźmy.

Dreszcze przeszły widzącemu po plecach. Zbiegło się to akurat z podmuchem wiatru, który już całkowicie zsunął chustkę z głowy staruszki. Ta złapała ją w ostatnim momencie i uchroniła od zanurzenia w błocie.

Jak na złość, im bliżej Piotrkowa, tym na drodze było go więcej.

– Pani Radzanowa? O co chce pani zapytać? – zapytał widzący z obawą, na co ta przystanęła i zaczęła w skupieniu składać chustkę.

Bez słowa zawiązała ją sobie na głowie, lecz w roztargnieniu trochę krzywo. Wojmir, widząc to, pochylił się i ostrożnie naciągnął ją na jej czoło, tak jak zwykła ją nosić do tej pory.

– Myślisz, Żmijku... – mruknęła zamyślona. – Myślisz... że mój Racisław odnajdzie jeszcze spokój?

Ach, ona ciągle o tym...

Żmijowy syn oparł ręce o kolana i, czując, że to czas, aby odstawić żarty na bok, zebrał się w sobie i powiedział szczerze:

– Nie wiem, pani Radzanowa. – Po tych słowach na twarzy kobiety pojawił się grymas mający swe podłoże w lęku, który, odkąd się znali, objął ją w swe władanie tylko raz: gdy mieszkańcy Piasków ruszyli na nich z widłami. – Słyszała pani, co mówił Wojek, gdy porwał nas na chmurze.

– Wiem, wiem... – Zmarszczyła brwi i zaczęła z nerwów bawić się dłońmi, a co za tym szło, wykręcać swoje powykrzywiane już i tak, kościste palce. – Mamy na razie czekać na jego znak.

– Dokładnie tak. – Skinął głową i uśmiechnął się lekko, a błędne ogniki wyleciały ze skrzyneczki, którą trzymał w torbie przewieszzonej przez ramię i usiadły na barkach Radzanowej, co wywołało uśmiech na twarzy leciwej kobiety. – Dlatego, póki mnie nie wezwie na szkolenie, idziemy do Piotrkowa. Pieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu – powiedział z wymuszonym uśmiechem.

Szczerze powiedziawszy, było mu jej żal, a Racisławowi to w głębi serca trochę zazdrościł. Jego matka nie dałaby za niego złamanego grosza, nie mówiąc o podróży przez pół kraju, aby upewnić się, że nie stanie mu się krzywda. Radzanowa miała swoje wady, lecz jej oddanie synowi na swój sposób wzruszało widzącego.

– Pani się nie martwi – powiedział cicho, a ogniki zbliżyły się do policzków staruszki. Ich przyjemne, kojące ciepło zdawało się na chwilę poprawiać jej humor. – Postaram się...

Nagle jego słowa zagłuszyło ochryple skrzeczenie bażanta, który do tej pory chował się przed nimi w zaroślach łąki rosnącej po lewej stronie drogi.

Jak ja tych ptaków nienawidzę, nadają się tylko na pasztet..., przemknęło mu przez myśl.

Ledwo zdążył przewrócić oczami, a z oddali dobiegł go kolejny krzyk. Tym razem pełen rozpacz:

– Dziecko! Dziecko leci!

Wojmir zastygł pochylony nad Radzanową.

Jakiś demon mnie na cel wziął? Przesłyszałem się?, pomyślał, ale wtedy wołanie znów się powtórzyło, a widzący rozpoznał w nim głos szeptuchy.

– Wojmir, dziecko!

Dopiero wtedy i on, i Radzanowa, spojrzeli przed siebie, skąd doszedł ich wrzask i skąd nadbiegały w ich kierunku Żywia i Stefa. Obie spanikowane, wskazujące żywo na coś na niebie, tuż nad nimi.

Żmijowy syn z obawą uniósł wzrok.

Nagle mignęły mu przed oczami biało-czarne pióra bociana, zza których wyłonił się spadający z nieba, nieregularny kształt.

W tle raz po raz słychać było skrzeczące krzyki bażanta, darł się jak opętany.

– Łap to dziecko, Wojmiiir!

Wołanie Stefy otrzeźwiło go na tyle, aby się cofnął i wystawił przed siebie ręce. Natychmiast wpadło w nie małe zawiniątko. Widzącemu z tego wszystkiego nogi ugięły się w kolanach. Nie minęła sekunda, a okolicę przeszył przeraźliwy płacz noworodka opatulonego od stóp do głów w niezbyt czystą koszulę.

Świat zawirował mężczyźnie przed oczami.

Jeden oddech, dwa, trzy. Będę mdlał, jak nic będę mdlał...

– N-na b-bogów, c-co to... – wydukał, niezdarnie trzymając w rękach...

– Dziecko! To dziecko! Co ty, nie widzisz?!

Drgnął, gdy dopadła do niego Stefa i wyjęła dziecko z jego ramion, umiejętnie tuląc je do siebie. Od razu zaczęła je delikatnie kołysać, drugą ręką odkrywając materiał, aby zobaczyć, czy nie doznało żadnego urazu.

– Co to za bocian, skoro dzieci gubi! – krzyknęła Żywia i pogroziła pięścią odlatującemu już ptakowi. – No, jak pijany leci, patrzcie!

Wojmir z tego wszystkiego po prostu zrobił to, co mu kazano, a więc spojrzał za bocianem kierującym się tam, skąd przyszli.

Faktycznie leci jakoś krzywo i bez sensu...

– Wojmir, obudź się!

Ocucił go ostry syk szeptuchy, która z emocji aż cała czerwona na twarzy się zrobiła. Zdaniem widzącego pięknie komponowało się to ze wstążkami w jej włosach, ale raczej nie był to dobry moment, aby prawić jej tego rodzaju komplementy.

– J-ja tak – podrapał się po karku, głośno wydychając powietrze. – Trochę mnie to... – wskazał na drącego się niemowlaka – to wszystko zaskoczyło.

– Co ty nie powiesz! – krzyknęła Żywia, wyrzuciwszy ręce do góry. Była wybitnie ekspresyjna i najwyraźniej najłatwiej było jej poradzić sobie z nadmiarem emocji wrzaskiem. – Jakieś dziecko nam z nieba spadło!

– Nie z nieba, tylko z dzioba bociana... – naprostowała Stefa, na co strzyga prychnęła.

Roznosząca ją złość na pierwszy rzut oka zupełnie nie pasowała do jej aparycji delikatnej dziewczyny przyodzianej w jasną, zwiewną sukienkę i, choć ze ściętymi dość krótko, to nadal pięknymi, złotymi wręcz włosami.

– Niech zabiera tego berbecia z powrotem ten ptak parszywy, co to ma być?!

– Nie drzyj się tak – rzuciła Stefa, lekko się bujając, aby uspokoić przerażonego niemowlaka. – Stresujesz go.

– To nie ja go stresuję tylko ten pijany bocian, co go upuścił!

– Będzie miał przez ciebie kolkę.

– To niech ma!

– Dziwne to... – Szeptucha spojrzała z konsternacją za coraz bardziej oddalającym się od nich ptakiem kierującym się ku granicy lasu. – Czy bociany w ogóle mogą być pijane?

– No ten z pewnością był! One dzieci mają przynosić, a nie gubić – prychnęła Żywia, mnąc w palcach materiał swojej sukienki.

– Bociany to pomioty diabłów – odezwała się grobowym tonem Radzanowa pierwszy raz, odkąd niebiosy zesłały im dziecko.

Widzący, strzyga i szeptucha spojrzeli na nią w tej samej chwili, bowiem zabrzmiała, jakby zaraz miała im opowiedzieć o jakimś krwiożerczym demonie, który

zjadł jej ostatniego lata dwie córki. Brakowało tylko, aby mówiła im to nocą przy ognisku, a na jej twarzy tańczyłoby światło niespokojnego ognia.

– A do tego... – szepnęła, pustym wzrokiem patrząc w przestrzeń. – Przed wylotem na zimę do Wyraju dokonują... sądów bocianich.

Podmuch wiatru załopotał jej przybrudzoną u dołu spódnicą, a podniosłości chwili dał się ponieść nawet berbec, gdyż raptownie zamilkł. Swe małe ślepie wlepił w pomarszczoną jak suszona śliwka Radzanową, która kontynuowała zniżonym głosem, kierując swoje szczurze spojrzenie prosto w oczy Wojmira.

– Słabyś? Zadziobią cię. – Niespodziewanie klasnęła, naśladując kłapanie bocianiego dzioba, przez co Żywia aż podskoczyła. – Rodzisz się nie taki? Zjedzą cię! To są diable pomioty, co to jeno chowają się pod płaszczykiem zwiastuna dobroci...

Brakuje tylko, żeby nagle niebo się zachmurzyło i przecięła je błyskawica. A do tego taki głośny grom.

– Pani Radzanowa... – chrząknął Wojmir, posyłając Stefie skonfundowane spojrzenie. – Żeby o bocianach tak mówić...

– Ja swoje wiem. – Radzanowa założyła z werwą ręce na piersi i ostentacyjnie odwróciła głowę. – One są zdradliwe, a natura naznaczyła je czerwonymi dziobami od krwi swoich ofiar. To ostrzeżenie...

Żywia machnęła ręką.

– Głupstwa Radzanowa plecie.

– Podobne ci są, więc słuchać mnie nie chcesz...

– O, wypraszam sobie!

– Też są puszczałskie, jeno samiec na polowanie polec, a samica hyc już z innym! – Kobieta uszczypnęła strzygę w ramię, nachylając się ku niej z każdym słowem coraz bardziej. – I mściwe są też, ooo, tak mściwe są bardzo. Wróci kiedy bociek z polowania i zobaczy w swoim gnieździe konkurenta, to zadziobać oboje na miejscu potrafi. Na śmierć!

Twarz Żywii wykrzywił grymas, Wojmir stał z rozdziawioną buzią i tylko Stefa nie wyglądała na zaskoczoną historią o bocianich mordercach.

– Chyba nie chciałam tego wiedzieć... – mruknęła wieszczycza i, aby zająć czymś drżące dłonie, nienaturalnie szybko schyliła się, chcąc urwać jeden z polnych kwiatków rosnących przy drodze.

Ledwo jednak go dotknęła, a spomiędzy wysokiej trawy wyskoczył na nią bażant, który bez choćby sekundy zawahania znów wrzasnął przeraźliwie, a za nim w kanonie Żywia i... dziecko.

– No nie – mruknęła zrezygnowana Stefa. – I całe uspokajanie na nic. Jak krew w piach...

– Krew to się zaraz poleje... – warknęła Żywia, wpatrzona w ptaka, a jej palce przemieniły się w szpony.

– Zostaw tego bażanta. – Szeptucha złapała ją za łokieć.

W drugiej ręce wciąż trzymała płaczące dziecko.

Wojmir z fascynacją przyglądał się duszom strzygi, które przenikały się, kiedy przyjmowała, choćby częściowo, demoniczną formę. Czerń coraz mocniej wybijała się na czerwonoszarym tle jej ducha, im bardziej dziewczyna pozwalała swojemu wieszczycowemu wcieleniu dojść do głosu.

I właśnie ten moment wybrała Radzanowa, aby oświadczyć:

– Ja mam dość, idę stąd. – Bez wahania obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę miasta, dalej mrucząc pod nosem, choć z przerwą na kolejny łyżeczek bimbru dla kurażu. – Opóźnienie mamy, a Piotrków już niedaleko, noc nas tu zastanie...

Widzący za to skierował swoją uwagę na ich nowe, niebiańskie dziecko.

Może to nie jest przypadek...

– Też, Stefa. – Nachylił się ku szeptusze i przyjrzał się niemowlakowi, który właśnie przestał płakać. Buźkę miał całą czerwoną, a oczy przestraszone, przez co mężczyźnie zrobiło się go żal. Mimo tego nie mógł się powstrzymać, aby nie zapytać... – A może on się tak wydziera, bo też ma w sobie obcą duszę jak te z Poznania? Ja sprawdzę, co?

Stefa, usłyszawszy ten absurd, przyciągnęła dziecko bliżej siebie i ponownie przytuliła z nadzieją, że ciepło jej ciała ukoi nerwy malca.

– Głupiś czy niespełna rozumu? – syknęła. Najchętniej zdzieliłaby go po głowie, gdyby tylko miała przy sobie godny tego kij. – Głodne jest!

– Ja też jestem głodna, a nie krzyczę... – bąknęła wieszczycza.

– Bo może masz więcej niż trzy dni? – odparła Stefa zirytowana. – Takie dzieciątko nie mówi jeszcze i komunikuje się, jak umie.

Dziecko najwyraźniej odczuło niechęć Żywii, ponieważ kolejny raz się rozplakało, co natychmiast zaowocowało grymasem na twarzy strzygi.

– Ta, rykiem chyba... Radzanowa, poczekaj na mnie! – krzyknęła i ruszyła w ślad za staruszką, która zdążyła zostawić ich w tyle. – Już wolę ciebie niż to dziecko!

Stefa stała jak zaczarowana, zastanawiając się, czy na pewno podróżowała z dorosłymi ludźmi.

– I... co teraz? – Wojmir oparł ręce na biodrach, z obawą wpatrując się w niemowlaka.

Zupełnie nie znał się na dzieciach i jedyne co był w stanie teraz z pewnością orzec, to to, że Stefie pasował ten berbec na ramieniu.

– Teraz to idziemy do Piotrkowa – ucięła kobieta i pomaszerowała, nie poświęcając widzącemu nawet chwili uwagi.

Został więc sam pośrodku drogi gdzieś między Gomulinem a Piotrkowem wśród skoszonych pól i dzikich łąk. Radzanowa i Żywia zbliżały się już do widocznego w oddali rozstaju dróg, a Stefa dzielnie kroczyła ku nim na tyle szybko, że Wojmir zdążył usłyszeć jedynie część jej narzekań.

– Co za chłop, naprawdę. Z nim gorzej jak z tym dzieckiem...

Wojmir podrapał się po karku i położył sobie rękę na brzuchu, gdy ten zaburczał i dał o sobie znać niemiłym skurczem.

– Wypadałoby i... Bogowie! – krzyknął, wystraszywszy się bażanta, gdyż ten, jak gdyby nigdy nic, stanął tuż obok niego i, tak jak on, wpatrywał się w horyzont, w którego kierunku zmierzała grupa. – Sio stąd, sio! – Wojmir machnął rękoma z nadzieją, że ptak się wystraszy, lecz nadaremno. Odskoczył jedynie troszeczkę w lewo i gdy tylko Wojmir ruszył, podreptał tuż za nim, śledząc każdy jego krok i tym samym zamykając pochód żmijowej drużyny.

– Cholerne ptaszysko... – bąknął widzący, wskazując na niego palcem. – Idź sobie, bo zrobię z ciebie pasztet.

Bażant jednak tylko zaskrzeczał i dalej szedł z nim w kierunku Piotrkowa, na co Wojmir westchnął przeciągle, smętnie krocząc przed siebie.

– Już bym wolał tego bociana...